

# Instytut Pamięci Narodowej

<https://ipn.gov.pl/pl/wydawnictwo/o-ksiazkach/poczytaj/nie-tylko-o-ksiazkach/175980,Eksperci-domagali-sie-lockdownu.html>  
27.02.2026, 15:33

## Eksperci domagali się lockdownu

Rozmowa z dr. Kamilem Dworaczkiem, dyrektorem Oddziału IPN we Wrocławiu, autorem książki „W cieniu radioaktywnej chmury. Konsekwencje katastrofy czarnobylskiej w Polsce”.

23.12.2022

Na początku upewnijmy czytelników, że nie było katastrofy w Czernobylu, choć czasem tak się to przedstawia.

Na pewno nie w Czernobylu, ale w Czarnobylu też nie... Czernobyl to bowiem zruszczona nazwa używana głównie w dyskursie PRL-owskim. Była tak powszechna, że w oficjalnych dokumentach czy w prasie w zasadzie nie znajdziemy prawidłowej nazwy polskiej – Czarnobyl. Błędna wersja pojawiała się także w drukach w drugim obiegu. Zresztą taka nazwa obowiązuje też w świecie anglosaskim – Chernobyl. Co ciekawe, coraz częściej stosuje się – szczególnie w języku angielskim – nazwę Chornobyl, to już z języka ukraińskiego. Ostatnio na konferencji międzynarodowej, w której miałem okazję uczestniczyć, badaczka z Ukrainy postulowała, aby właśnie takiej nazwy używać. Konkurencją jest jeszcze oczywiście polski Czarnobyl. Ta dyskusja nie zmienia jednak faktu, że katastrofa miała miejsce nie w tej miejscowości. Doszło do niej w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej im. Włodzimierza Lenina, oddalonej od tego miasta o ok. 18 km. Bliżej jest Prypeć, ok. 2–3 km, i taki adres miała elektrownia. Osoby odwiedzające owo miasto duchów często reagują słowami: „O, Czarnobyl!”. Ta pomyłka zakorzeniła się tak mocno, że mam wątpliwości, czy uda się kiedykolwiek to odwrócić. Co ciekawe, dokładnie taka sama pomyłka pojawia się w wypadku katastrofy fukushimskiej – miasto Fukushima położone jest jeszcze dalej, bo aż 70 km od elektrowni.

W jaki sposób badano przyczyny katastrofy z 1986 r.?

Powołano kilka komisji. Dwie najważniejsze to Komisja Rządowa pod przewodnictwem wicepremiera Szczerbiny oraz Grupa Operacyjna KC KPZS, którą kierował premier Nikołaj Ryżkow. Pierwsza powstała już 26 kwietnia, a jej członkowie tego samego dnia zjawili się w Prypoci. Warto podkreślić, że w zespole tym znaleźli się eksperci, a nie politycy. Komisja zajmowała się przede wszystkim wypracowaniem rozwiązań zapobiegających rozszerzaniu się skażeń promieniotwórczych. To właśnie wicepremier Szczerbina podjął decyzję o ewakuacji mieszkańców Prypoci oraz przyległych miejscowości. Większe znaczenie polityczne miała jednak Grupa Operacyjna składająca się z członków najwyższych władz, formalnie była zresztą ciałem powołanym przez partię. I tu mamy pewien paradoks – Komisję Rządową kierował wicepremier, a komisją partyjną sam premier. Nie ma wątpliwości, która z nich była ważniejsza. Kluczowe decyzje podejmowała ekipa Ryżkowa. Nie było to jednak nic wyjątkowego w krajach komunistycznych, gdzie ośrodek władzy ulokowany był w gremiach partyjnych, a nie konstytucyjnych. Była jeszcze komisja pod przewodnictwem wiceministra ochrony zdrowia, której głównym zadaniem było zapewnienie odpowiedniej opieki zdrowotnej na najbardziej skażonych terenach. W pierwszych dniach sposób organizacji tej opieki pozostawiał wiele do życzenia i poirytowani członkowie Grupy Operacyjnej zdecydowali się w końcu na powołanie odrębnej komisji, która miała się poświęcić wyłącznie tej sprawie.

Mimo wszystko pochody pierwszomajowe się odbywały. Czy władze świadomie naraziły uczestników zgromadzeń na promieniowanie, czy też błędnie oceniły rozmiary skażenia?

Była to świadoma decyzja. Istniało podejrzenie, że wiatr skieruje pył radioaktywny znad elektrowni nad Kijów, a mimo to nie odwołano ani tamtejszego pochodu, ani etapu Wyścigu Pokoju. Był to silny przekaz dla świata – zobaczcie, wszystko jest w porządku, życie toczy się normalnie, a dzieci i sportowcy na ulicach miasta są tego najlepszym dowodem. Wyobraźmy sobie sytuację odwrotną: pochody i wyścig są odwołane. To byłoby zaprzeczeniem przyjętej wówczas polityki informacyjnej, której głównym założeniem było przekazywanie skąpych i uspokajających informacji. Kreml strasznie się bał wybuchu paniki, dlatego wystrzegał się jak ognia ruchów, które mogłyby ją spowodować.

Jak zatem ocenia Pan postawę Gorbaczowa w tym czasie? Dlaczego zabrał głos publicznie dopiero 14 maja?

To jest bardzo ważne pytanie, nad którym długo się zastanawiałem. Zaraz po wybuchu, w pierwszych kilkunastu godzinach, na pewno nie miał pełnej wiedzy o realnych rozmiarach katastrofy. Otrzymywał informacje nieadekwatne do sytuacji. Później jego opieszałość można wiązać z tym, o czym wspomniałem już wcześniej. Sowieci bardzo skąpo informowali o wydarzeniu, więc początkowo orędzie nie wchodziło w grę. Można też odnieść wrażenie, że Gorbaczow chciał chronić swój wizerunek i starał się, aby nie wiązano go z katastrofą. Sam nie zdecydował się na wyjazd do elektrowni, natomiast 2 maja wysłał tam premiera Ryżkowa. Przed 14 maja zmienił zdanie i zdecydował się na oświadczenie telewizyjne. Być może uznał, że pełna informacja dotycząca katastrofy pomoże mu wykreować się w oczach społeczeństwa oraz opinii publicznej na Zachodzie na przywódcę otwartego, wiarygodnego i gotowego do przyznania się do błędów. To jak najbardziej wpisywało się w ogłoszoną przez niego głośność.

À propos, czy ekspert Walerij Legasow, informując o katastrofie na konferencji w Wiedniu, powiedział prawdę?

Sam Legasow mówił później, że nie skłamał, ale nie powiedział też wówczas całej prawdy. Winę za awarię zrzucił na czynnik ludzki. Podkreślił błędy popełnione przez operatorów, zresztą w takim duchu napisany był raport na ten temat. Pomiął jednak błędy konstrukcyjne i wady reaktora RBMK-1000, które również przyczyniły się do wybuchu. Już wówczas niektórzy specjaliści zwracali na to uwagę, ale przeważały głosy, że Związek Sowiecki i tak dość otwarcie poinformował o okolicznościach katastrofy, jeśli weźmiemy pod uwagę dotychczasowy sposób postępowania władz tego kraju. Legasow wierzył, że uda się zreformować sowiecki sektor energetyki jądrowej. Niestety, nie udało się. I to była jedna z głównych przyczyn samobójstwa, które popełnił w drugą rocznicę katastrofy – 26 kwietnia 1988 r.

Czy armia ówczesnego mocarstwa była przygotowana do działania w zakresie ochrony radiologicznej?

Nie mam dokładnych informacji dotyczących np. tego, czy żołnierze mieli wystarczającą ilość sprzętu ochronnego. Ze wspomnień likwidatorów wyłania się jednak obraz braku poszanowania dla życia i zdrowia ludzi, charakterystyczny dla Armii Sowieckiej. Kwaterowani byli w namiotach na skażonych terenach, nikt nie egzekwował stosowania środków ochrony, informacje na temat przyjętych dawek promieniowania wpisywano niedbale lub wręcz fałszowano. A żołnierzom wmawiano, że najlepszą odporność na radioaktywność daje... wódka.

Mówiono nawet o biorobotach.

Określenie to ukuli sami likwidatorzy. Powodem był fakt, że roboty czyli zdalnie sterowane łażiki, które miały oczyścić dach reaktora nr 3, przy tak wysokim poziomie radioaktywności po prostu nie działały. Wówczas do akcji wysłano ludzi – bioroboty. Poradzili sobie z wyznaczonym celem i zrzucili z dachu elektrowni elementy radioaktywne. Warto też przypomnieć, że likwidatorów ubrano w prowizoryczne pancerze z ołowiu, które miały chronić przed promieniowaniem.

Kiedy i gdzie po raz pierwszy w Polsce wykryto skażenie pochodzące z katastrofy?

To jest bardzo ciekawa kwestia, której wiele miejsca poświęcam w książce. Wszystko wskazuje na to, że skażone powietrze zostało odnotowane przez stację pomiarową w Mikołajkach 27 kwietnia wieczorem. Jednak pomiar odczytano w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej dopiero następnego dnia rano. Kolejne godziny zajęło potwierdzanie wyników i przekazanie ich władzom. Z pewnością zabrakło właściwych procedur. Efektem było kilkudziesięciogodzinne opóźnienie. Dopiero 29 kwietnia rano powołano Komisję Rządową. Co ciekawe, mamy dowody świadczące o tym, że pierwiastki promieniotwórcze pojawiły się na naszym terytorium jeszcze wcześniej, w miejscu, gdzie nie było stacji pomiarowych. Chodzi o okolice Sejna, a więc o północno-wschodni skrawek Polski. Późniejsze badania składu izotopowego powierzchni gleby wykazały, że musiało tamtędy przejść powietrze skażone wskutek wybuchu reaktora i miało to miejsce już 26 kwietnia po południu.

W końcu informacja dotarła do władz.

Tu znowu – mówiąc kolokwialnie – zaczęły się schody. Nie było procedury mówiącej, jak i kogo Centralne Laboratorium Ochrony Radiologicznej miałoby poinformować w dalszej kolejności. Profesor Zbigniew Jaworowski opowiadał, że alarmował prezesa Państwowej Agencji Atomistyki Mieczysława Sowińskiego, ale ten nie podjął działań – polecił tylko dalej prowadzić pomiary. Jaworowski wykorzystał prywatne kanały i przez swoją żonę dotarł do prof. Zdzisława Kaczmarka, który znał premiera Zbigniewa Messnera i obiecał go powiadomić. Wiemy, że tak się ostatecznie stało, sam Messner o tym mówił na późniejszym posiedzeniu rządu. Nie podjął jednak żadnych działań, prawdopodobnie wskutek zbyt optymistycznej oceny sytuacji, sądził bowiem, że to próba atomowa w Związku Sowieckim. Informacja o skażeniu zaczęła jednak docierać do członków najwyższych władz również innymi kanałami. To doprowadziło do zorganizowania nocnego spotkania na szczycie w KC, a następnego dnia rano, był już 29 kwietnia, powołano Komisję Rządową pod przewodnictwem wicepremiera Zbigniewa Szalajdy, która wzięła na swoje barki wszystkie sprawy związane z wystąpieniem skażeń.

Na początku kwietnia 1986 r. uchwalono Prawo Atomowe – ciekawa koincydencja. Czy zastosowano je wówczas w praktyce?

Nie, ponieważ nie było jeszcze prawem obowiązującym, weszło w życie później.

Jak ocenia Pan postawę Wojciecha Jaruzelskiego wobec katastrofy?

Pojawił się w KC w nocy z 28 na 29 kwietnia i wziął udział we wspomnianym spotkaniu. Początkowo eksperci domagali się – sięgnijmy do modnego ostatnio określenia – lockdownu. Jaruzelski stał na stanowisku, że jak trzeba, to trzeba. Później jednak zrewidowano ten pogląd, bo okazało się, że skażenie jest mniejsze niż początkowo obliczano. Na dalszym etapie generał nie angażował się w działania związane z katastrofą, sprawę scedował na rząd i tylko co jakiś czas

dzwonił z pytaniem, czy jest potrzebne jego wsparcie. Publicznie nie zabrał głosu w tej sprawie. Podczas pierwszomajowego przemówienia nie zająknął się na ten temat – można powiedzieć, że całkowicie się rozminął z nastrojami społecznymi. Mówił za to m.in. o rządach wielkiego kapitału, które „stroją się obłudnie w togę obrońcy praw człowieka”, a państwu NATO zarzucał imperializm i politykę konfrontacyjną wymierzoną w pokój i bezpieczeństwo. Jedynym nawiązaniem do ZSRS były słowa o solidarności z dorobkiem XXVII Zjazdu KPZS.

Jakie zakazy wprowadzono w Polsce?

Przede wszystkim pilnowano, aby na rynek nie trafiło skażone mleko. Słusznie zakładano, że spożywanie mleka i jego pochodnych może spowodować wprowadzenie do organizmów zbyt dużej dawki jodu-131, który z kolei mógł negatywnie wpływać na tarczycę, szczególnie u dzieci. Produkty mleczne przekraczające normy nie trafiały więc do sklepów. Stąd też wziął się zakaz wypasu krów na pastwiskach, by nie zjadały skażonej jodem trawy. Zresztą małe dzieci musiały pić w tym czasie tylko mleko w proszku wyprodukowane przed skażeniem. Pojawił się problem, bo produkt ten trzeba było sprowadzić z Zachodu. W końcu udało się zwiększyć import i zapewnić nieskażone mleko dla najmłodszych. Z podobnych względów małe dzieci nie mogły jeść warzyw liściastych. Oczywiście dorośli także rezygnowali ze spożywania tych produktów.

A jak wyglądała polityka informacyjna w mediach? Pamiętam, że w DTV wypowiadali się eksperci...

Ówczesna polityka informacyjna opierała się przede wszystkim na komunikatach komisji rządowych. Można narzekać na zdawkowość przekazu, ale jeżeli zestawimy to z informacjami udzielanymi przez inne kraje bloku sowieckiego, to trzeba przyznać, że rząd polski dostarczał więcej wiadomości. Komunikaty były odczytywane codziennie w „Dzienniku Telewizyjnym”. Na dodatek 30 kwietnia zdecydowano się na emisję debaty z udziałem ekspertów z Komisji Rządowej. Starano się uspokoić widzów, mówiono o niskim stopniu skażenia niezagrażającym zdrowiu. Posunięcie okazało się trafione. Społeczeństwo nie wierzyło bowiem władzy. Powszechne i słuszne było przekonanie, że media kłamią. Gdy jednak pojawili się naukowcy i swoim autorytetem wsparli oficjalny przekaz, przekonało to Polaków. Z raportów SB jednoznacznie wynika, że debata wpłynęła bardzo uspokajająco na nastroje społeczne.

Pamiętam, że nastrój miałem minorowy, ale może dlatego, że jednym z przebojów radiowych był wówczas *The Final Countdown* szwedzkiej grupy Europe. Wracając do tematu – czy znany naszemu pokoleniu z paskudnego smaku płyn Lugola był podany zasadnie?

To było jedno z ważniejszych pytań, z którymi chciałem się zmierzyć. Wokół akcji lugolizacyjnej narosło wiele wątpliwości, na przykład, czy w ogóle była potrzebna albo czy nie przyniosła więcej szkody niż pożytku. Decyzja o podaniu stabilnego jodu zapadła na podstawie założenia, że sytuacja radiologiczna w kraju może się pogorszyć. Pamiętajmy, że emisja radionuklidów jeszcze nie ustała, nie wiadomo było, co dokładnie dzieje się w elektrowni. Można więc powiedzieć, że sięgnięto po maksymalne środki ostrożności. Ważny był też efekt psychologiczny. Tym ruchem władze pokazały, że nie są bierne i robią wszystko, żeby ochronić ludność. Faktycznie, wiele osób było przekonanych, że bierze lekarstwo „na radioaktywność”. Świadczy o tym choćby masowe przyjmowanie płynu przez osoby dorosłe, mimo iż nie było takiego zalecenia.

Jak oceniono skuteczność podania jodu?

Pod koniec lat osiemdziesiątych Ministerstwo Zdrowia powołało zespół pod kierownictwem prof.

Janusza Naumana. Gremium to miało zbadać skutki zdrowotne skażeń. Jedną z kwestii do wyjaśnienia była ocena skuteczności podania stabilnego jodu z uwzględnieniem czasu, kiedy to nastąpiło. Okazało się, że przyjęcie go 29 kwietnia zmniejszało dawkę radiojodu o 60 proc., 30 kwietnia zaś – o 35 proc. Wypicie płynu Lugola nawet po kilku dobach miało więc sens. Między bajki należy też włożyć opowieści o zgubnym wpływie tego środka na tarczycę. Badania nic takiego nie wykazały. Jedynym skutkiem ubocznym były nudności i wymioty, a i tak dotyczyły tylko niewielkiej grupy osób.

Czy myśli Pan, że katastrofa z 1986 r. zostawiła w Polakach przekonanie o wpływie skażenia promieniotwórczego, jakiemu byli wtedy poddani, na ich zdrowie wówczas i w przyszłości?

Tak, to bardzo często pojawiający się problem. Wiele osób cierpiących dzisiaj na choroby tarczycy gotowych jest wiązać je z promieniowaniem poczynobylskim. Endokrynolodzy, z którymi miałem okazję rozmawiać, też wspominali o pacjentach, którzy przychodzili z takim właśnie przekonaniem. Wygląda jednak na to, że nie można wiązać tego wyłącznie z wydarzeniami z 1986 r. Z moich badań, opartych oczywiście na ustaleniach specjalistów, wynika, że skażenie nie mogło być główną przyczyną wzrostu liczby przypadków chorób tarczycy (w tym raka). Najlepszym dowodem na to jest fakt, że taką tendencję obserwujemy we wszystkich krajach rozwiniętych, w tym takich, gdzie skażenie w ogóle wówczas nie występowało, np. w Korei Południowej. Z drugiej strony można mówić, że promieniowanie było jednym z wielu czynników, który mógł mieć wpływ na zachorowania. Na najbardziej wówczas skażonych terenach Polski obserwujemy ich więcej wśród kobiet, które w 1986 r. były dziećmi.

Dziś w Polsce zapowiada się budowę trzech siłowni jądrowych i nie wzbudza to zauważalnych protestów. Niegdyś po wielu [protestach](#) zarzucono budowę elektrowni jądrowej w Żarnowcu. Zmieniliśmy się?

Tak, zmieniliśmy się, a przede wszystkim zmienia się świat wokół nas. Od 1986 r., nie licząc bardzo krótkiego epizodu, Polacy byli przeciwni powstaniu w ich kraju elektrowni jądrowej, na co główny wpływ miała żywa pamięć o katastrofie czarnobylskiej. Brak poparcia społecznego dla energetyki jądrowej był jednym z najważniejszych powodów zarzucenia budowy EJ Żarnowiec w 1990 r. Nie bez znaczenia był również fakt, że siłownia powstawała w oparciu o sowiecką technologię. Co prawda miał to być inny typ reaktora niż czarnobylski RBMK-1000, bezpieczniejszy, ale to nie miało dla Polaków już większego znaczenia. W ostatnich kilku latach sporo się jednak zmieniło. Już w 2021 r. można było zauważyć, że dotychczasowa tendencja zaczyna się zmieniać, że przybywa zwolenników energetyki jądrowej i to w bardzo szybkim tempie. Wpływ na to miały duże podwyżki cen prądu związane z kosztami emisji CO<sub>2</sub>, a atom jawił się jako rozwiązanie problemu: źródło taniej i czystej energii. Po agresji Rosji na Ukrainę chyba już nikogo nie trzeba przekonywać, że konieczne jest szukanie nowych rozwiązań w zakresie bezpieczeństwa energetycznego. Ucichły głosy sceptyków. Ostatnio przeprowadzone badania wskazują, że w tej chwili mamy akceptację społeczną dla takiego rozwiązania. To nie znaczy, że Polacy pokochali atom, jest to raczej małżeństwo z rozsądku. Często porównuję energetykę jądrową z lotami pasażerskimi. Mimo zachowywania najwyższych standardów bezpieczeństwa i w jednym i w drugim wypadku dochodzi, choć rzadko, do awarii. W katastrofach lotniczych zginęło wielu ludzi, a mimo to samoloty nie odeszły do lamusa, przeciwnie – są uważane nie tylko za najszybszy, ale również za najbezpieczniejszy środek transportu. Zresztą słusznie. Może przyszedł czas, kiedy Polacy – mimo wszystkich obaw – wsiądą do samolotu pod nazwą „energetyka jądrowa”.

Elektrownie jądrowe mogą też nieść ze sobą zagrożenie w sytuacji konfliktu zbrojnego, co wyraźnie widać teraz na Ukrainie. O tym i nie tylko porozmawiamy jednak na żywo w drugiej części rozmowy, na którą czytelników serdecznie zapraszamy.

Do usłyszenia wkrótce.

Rozmawiał

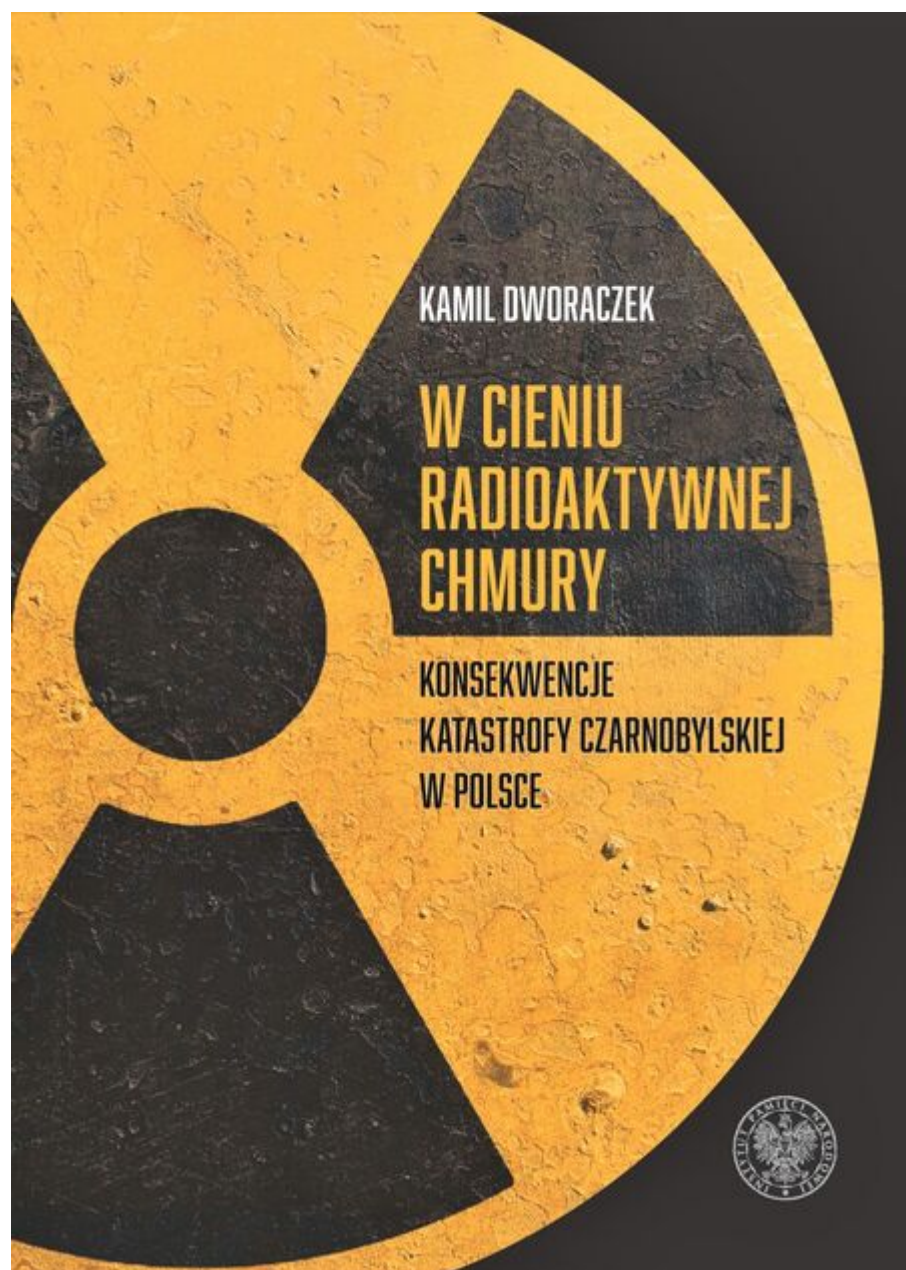
Maciej Foks

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)

Rozmowa

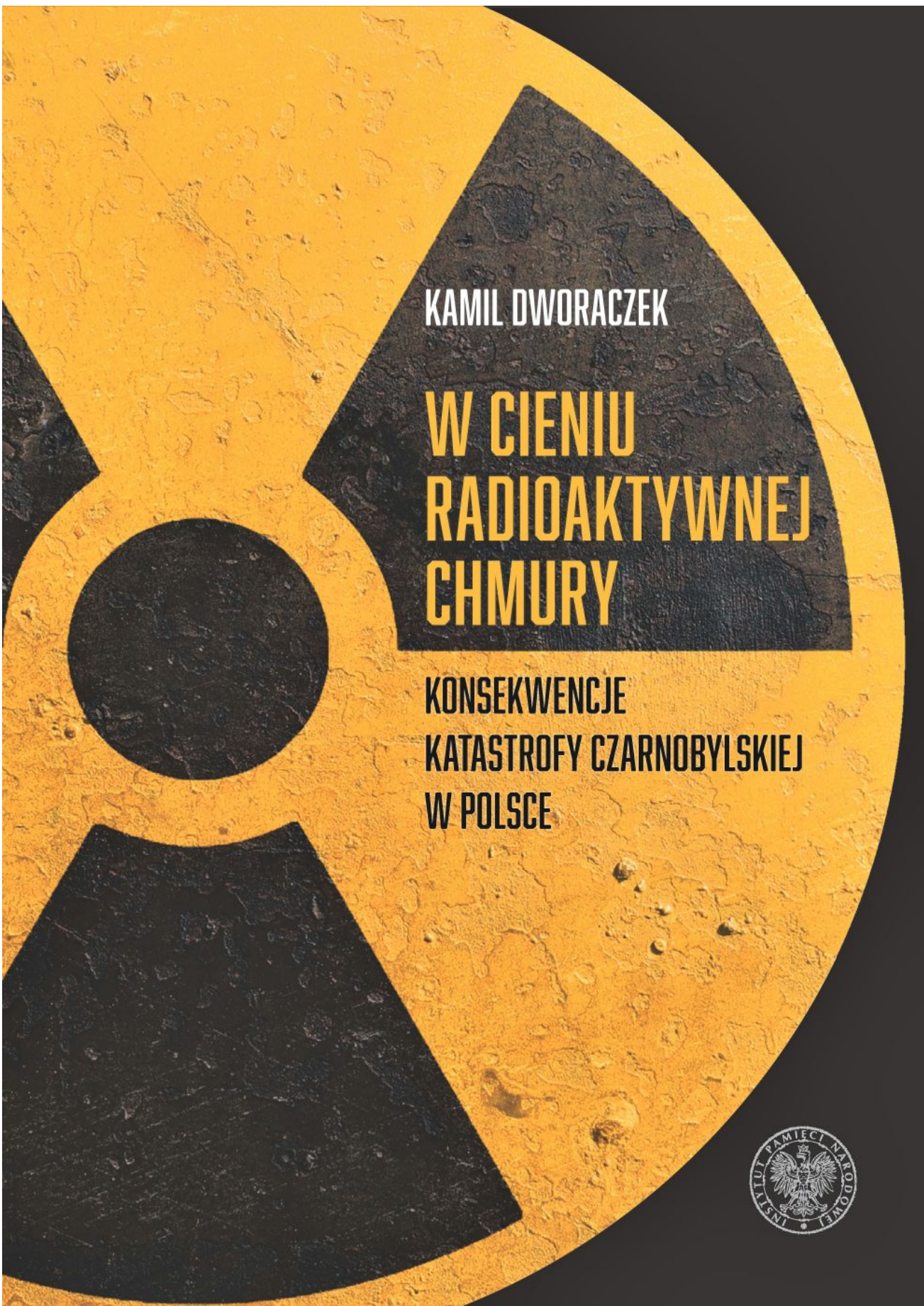
## Powiązane wiadomości



W cieniu radioaktywnej chmury. Konsekwencje katastrofy czarnobylskiej w Polsce



Zapraszamy do posłuchania nowego podcastu z serii „Ekspres czytelniczy IPN”



**KAMIL DWORACZEK**

**W CIENIU  
RADIOAKTYWNEJ  
CHMURY**

**KONSEKWENCJE  
KATASTROFY CZARNOBYLSKIEJ  
W POLSCE**

